CENA 30 gr.

BŁYSKAWICA

CENA 30 gr.

ORGAN UCZENNIC I UCZNIÓW KOMUNAL. GIMNAZJUM KOED.

W ROŹDZIENIU WYCHODZI CO MIESIĄC.

Nr. 1 Roździeń, wrzesień 1929 r. Rok I.

Na progu.

Zazdrość patrzyła Wam z oczu, gdyście w czasie poprzednich lat szkolnych przynosili mi egzemplarze czasopism uczniowskich, wydawanych w innych uczelniach średnich Śląska i Zagłębia. Czytałem w Was nieme a buntowne zapytanie: „Dlaczego oni, a nie my? dlaczego także nie my?“ Zazdrość była to piękna, dumna i szlachetna. Z takiej bowiem zazdrości rodzi się nieustający postęp, ten wieczny, jak ludzkość wyścig o lepsze jutro.

Dziś zdobywacie upragnioną placówkę. Przychodzi ona do Was jako znak widomy, że szkoła Wasza rozrasta się, rozwija i że w miarę, jak jej klas wyższych przybywa, Wy razem z nią dojrzewacie.

Wam pierwszym przypada dziś zaszczyt przemówienia z tych ław szkolnych, których polskość tak ciężko starsze wywalczyły pokolenia. Im zawdzięczacie, że Wasze pierwsze drukowane słowo w polskiej padnie mowie. A przemówicie od siebie, w miarę Waszego rzetelnego dorobku, z dna serc i dusz młodych.

Jesteście bowiem młodzi i macie w sobie świat własny, który niesiecie w życie. Krzepicie w sobie siły nowe, przez trudy jeszcze niestarte. Myśli Wasze, młodzieńczemi snami uskrzydlone, w loty zrywają się górne, bo nikt ich jeszcze nie zwichnął ani na bruk nie cisnął. Czas zatem najodpowiedniejszy, by w sobie doszukać się — siebie! Czas kształtować „ja“ własne, czas popracować nad odkryciem własnej indywidualności i nad nadaniem jej własnego, swoistego wyrazu. Jak najwcześniej budować trzeba dom — na całe życie!

Własna prasa dostarczy Wam do tego najlepszej sposobności. Obleczcie tylko myśli swoje w słowa, a słowa zakujcie w czcionki drukarskie. Będziecie wtedy patrzeć na twory swego ducha jako na coś od Was oderwanego, co ma własny byt przedmiotowy. To pozwoli Wam ustosunkować się do nich krytycznie i dalsze zdobycze z własnego czerpać doświadczenia

Roztrząsajcie na łamach tego pisemka wszelkie dostępne zagadnienia, jakie Wam życie szkolne nasunie. Umiarkowany a poważny ton wymiany zdań przeciwnych nauczy Was kultury życia społecznego i politycznego, w które później wejdziecie.

Jeśli kto z Was odczuje w sobie szczególne zamiłowanie do pióra, niech stawia tutaj pierwsze kroki ku rozwojowi posiadanych zdolności i niech próbuje grać własne melodje na czarodziejskim instrumencie polskiej mowy Szczęśliwy będzie, kto w sobie tą drogą odkryje przyszłego artystę !

Wprowadźcie w Wasze szpalty i ten drugi świat, co Was otacza Założcie najprostszy, na jaki Was stać, warstat pracy naukowej Gromadźcie własne, drukowane muzeum regjonalne. Otwórzcie wrota krajoznawstwu i śląskiej gwarze ludowej. Może się doszukacie istotnych pereł.

Dajcie głos Waszym kółkom szkolnym, by mogły tu zamieszczać swe komunikaty. Niech to pisemko będzie istotnym przeglądem Waszej umysłowej pracy! Nie zapomnijcie jednak i o fizycznych, sportowych wysiłkach!

Pamiętajcie też o tem, że macie młodsze koleżanki i kolegów, którzy będą czytelnikami Waszej gazetki, choć jeszcze sami nie mogą współpracować w jej redakcji. Dla nich także musi znaleźć się dział, który ich zainteresuje lub zabawi. Nie mogą ani jednego numeru rzucić w kąt z tem, że jest „nudny", że ich nie ciekawi.

Wiedzcie również sami, że śmiech jest, jak praca, konieczny w życiu człowieka. W niezliczonych bowiem wypadkach stwierdzili uczeni, że wydajność pracy ludzi o wesołem usposobieniu jest znacznie większa. Prowadźcie zatem dział rozrywkowy tak skutecznie, by było się z czego śmiać przez cały miesiąc.

Jako kurator Waszego pisemka życzę jego redakcji, by odpowiedziała przyjętemu na siebie zadaniu. Mając do dyspozycji własny organ, możecie z tej platformy nadawać ton całemu życiu koleżeńskiemu w swojem gimnazjum. A to jest przecież odrębny organizm społeczny, minjatura wielkiego społeczeństwa!

Jeżeli na tem stanowisku stanąć potraficie, zniknie z ust Waszych pytanie: „Dla czego oni, a nie my?" Bo gdy ci wszyscy, którym dotąd zazdrościliście, Waszą gazetkę przeczytają, sami nabiorą dla Was szacunku i sami — zazdrościć Wam będą!

DO PRACY!!! Stanęliście dopiero na progu.

Prof. dr. Kazimierz Gołba.

NA ROK SZKOLNY.

Jako dawnemi działo się laty,
I dziś, o zwykłej my porze,
Przychodzim w progi tej szkoły,
Z serdecznem w ustach: „Szczęść Boże".

Szczęść Boże w pracy mozolnej,
Lecz chleb dającej w pokoju,
Szczęść Boże w pracy, która gromadzi
Cnotę, jak ziarno do broga.

N. Ł.

ZNOWU DO SZKOŁY!

Dziwnem i nieprawdopodobnem wydaje się, że już rozpoczął się rok szkolny, że nadszedł czas, kiedy wczesnym rankiem, z książkami pod pachą pędzić trzeba do szkoły.

Dziwne to, ale prawdziwe.

Czas wakacyjny wydał się nadzwyczaj krótką chwilką, która pozostała daleko hen, za nami. Pierwsze dni września stały się ciężkie, godziny mijają powoli, a lekcje zadane nie mają należytego pociągu. Słuchając pierwszych wykładów wzrok ucznia błądzi po gładkich ścianach, po sprzętach szkolnych i podłodze; czasem utknie w otwartem oknie klasy, poza którem zielenią się jeszcze drzewa.

I mimowoli zapomina się o tem, że jest się w klasie.

Wzrok utkwiony w zanikającej zieleni i spadających liściach, napawa się jeszcze urokiem minionego lata, a duch przenosi się do tych cichych pól dalekich, do łagodnie falującego morza zbóż . . .

. . . . a w uszach szumi jeszcze las, ten śliczny polski las, taki niby cichy, a głośny śpiewem ptactwa . .

Podniesiony niekiedy głos profesorski budzi z zamyślenia — załzawiony wzrok uderza o cztery ściany klasowe.

I tak wtedy smutno się robi ... a w duszy powstaje pytanie: dlaczego to trwało tak krótko, podczas gdy rok szkolny, a szczególniej początek jego wlecze się nieznośnie?

Lecz ponad tym smutkiem ogarniającym duszę, ponad tęsknotą za niczem nieskrępowaną swobodą, bierze górę rozsądek, najlepszy doradca. Nie może wiecznie trwać lato, wakacje również kiedyś musiały skończyć się.

Należało wrócić do pracy, do obowiązku; a chociaż wydają się zbyt jednostajnemi, to jednak nie należy brać tego tak do serca; trzeba przezwyciężyć samego siebie, zagłuszyć głosy pokus, których jest w koło tyle, szczególniej w pogodne dni jesienne..

Nie należy wtedy rozmyślać o wakacjach minionych, o dniach słonecznych; odłożyć wspomnienie na czas wolny, a dążyć naprzód szybko, bez straty czasu z tą dewizą: trzeba ukochać pracę... trzeba ukochać ją taką, jaką ona jest — uznać ją za przyjaciela... Rok szkolny nie będzie wtedy zaporą, która oddzielić potrafi od tego co ukochane i miłe; przejdzie szybko, pozostawiając za sobą drogie i niczem niezatarte wspomnienie.

A w sercu nie będzie miejsca na żal, ani smutek, ale będzie pełne zadowolenia, że czas nie poszedł na marne, umysł napełni to przeświadczenie, że nie jest się synem marnotrawnym.

A w ślad za tem idzie co?..

Znowu wrócimy do cichych pól, znowu będziemy łowić uchem szmer potoków, a ponad nami znowu zaszumi wonny, polski las . . .

C. P.
Kl. VII-ma.

CZEM JEST DLA NAS LITERATURA.

Jak ciało, któremu brak światła, powietrza lub pokarmu odczuwać się daje i omdlewa strudzone, tak duch ludzki marny jest i osowiały gdy brak mu jest zasadniczych pierwiastków życiowych. Każdy odzew serdeczny budzący się w drugich sercach, współczucie w nieszczęściu i cierpieniu, jest jakby promykiem światła dobrych czynów, które jako klejnoty bezcennie promieniują migocąc barwami tęczy. Zaś pokarmem duchowym jest oświata — te drobnem pismem zadrukowane karty wielkich dzieł, powieści i historje, baśnie o dawnych czasach, prace w teraźniejszości i nadzieje na przyszłość.

W zamierzchłej przeszłości polerowały się istoty ludzkie, zdobywając mozolnym trudem postęp i cywilizację: jaknajwięcej siląc mózgi nad wynalezieniem środków ułatwiających wegetowanie . W miarę wzrostu coraz to nowszych zdobyczy, zjawiła się chęć

nieodparta pozostawienia znaku po sobie, któryby zaznajamiał tych co później przyjść mieli — z gehenną trudów i walk poniesionych w imię przyszłości.

Gigantyczne wprost wysiłki dały to, że wynaleziono pismo, które przekazując historję lat dawnych stało się przestrogą potomności, a jednocześnie ulubionym pokarmem ducha. W szerzącym się wokół postępie i cywilizacji literatura stała się kwestją narodową, przejawem patrjotyzmu, zwierciadłem ducha narodów, odbijającem żywotność, wielkość i potęgę — pomnikami, na których wyryte stygmaty genjuszu przetrwają wieki i tysiące lat. Wielką i nieocenioną jest potęga literatury, której złotostrunna harfa potrafi wiele zdziałać, budując pomniki zasłużonym, krzepiąc ducha wątłym, zachęcając do walk, czynów i wysiłków, krzepiąc nadzieje. Owe iskry literatury wykrzesane mocą wielkiego ducha s... ją jako mur ognisty. Świadczą, że naród w... walczy sobie naczelne stanowisko w dziejach świata, mimo że duch jego upadał pod ciężarem klęsk i nieszczęść, pokrwawiony troską, ginął w bezbrzeżnej męce, łaknął jak najwięcej ożywczych kropel balsamów kojących, — jakiemi były słowa głoszone przez tych, którzy nauczyli kochać i cierpieć, hasła wytrwałości, ukazując przecudne miraże przyszłości wolnej od brutalnej przemocy.

Więc dzisiaj, kiedy głos wolności Polski Zmartwychwstałej rozlega się od krańca do krańca naszej ziemi, pochylmy czoła nad stosem ksiąg i oddajmy: Literaturze i jej twórcom Cześć !

H. I.

Zośka.

NOWELKA

Jasny dzień skonał. Rozgwieździł się szafirowy wieczór, osłonięty mgłą oparów, unoszących się z rozległych łąk i torfowisk. Spokój niczem niezamącony zapanował w całej wsi, jedynie od czasu do czasu szeleścił lekki wiatr nikłemi gałązkami brzóz, sprawiając tajemniczy szum. Pośród torfowisk, w stawach rechotały żaby. Lśniła się grząska powierzchnia moczarów, miejscami zarosła kępami nenufarów i sitowia. Gdzieniegdzie dziko sterczała karłowata pogięta fantastycznie olcha, z pod której cienia pełzały wązkie sznury oparów, rozpływały się w przestrzeni i niknęły gdzieś w dali. Zdawało się, że z pobliskich zarośli dochodzi jakiś chichot fauna goniącego może w tej chwili zbłąkaną nimfę. Księżyc, który dotąd płynął po czystym firmamencie szafirowego nieba, skrył się za chmurę. Teraz bardziej wszystko sposępniało, ucichło rechotanie żab, tylko zdradliwa, choć gładka pierś trzęsawiska o stalowym połysku zafalowała lekko i miejscami zalśniła fosforyczną zielenią. Sterczące sitowia i kępy zarośli suchemi ramionami strzelając ku górze zdawały się jakby bronić przed jakąś napaścią, moczary wyglądały teraz jak zwarzone zioła w kotle wiedźmy. Chichot bachiczny, dziki, zapamiętały, triumfująco przeciskał się przez zarośla i zwodniczem echem rozlegał się po moczarach.

Szklista powłoka trzęsawiska przestała falować — zastygła. Zarysowała się silniej smuga oparów, na tle której zamajaczyła jakaś ludzka postać. Z początku leniwie sunęła jakby badała grunt pod stopami kierując się w stronę leżącego pnia drzewa. Utkwiła wzrok w zaroślach podobna raczej do martwicy nie istoty żywej, — wyglądała jak upiór błąkający się po cieniach nocy — by w pustce znaleźć ukojenie i chwilę wolną od udręczeń. I długo siedziała bez ruchu.

Lecz rozdzwoniona w przestrzeni melodja skrzypiec widocznie doleciała do jej uszu, bo nerwowo uniósłszy się z pnia z wyciągniętą dłonią, jakby szukając oparcia powlokła się w stronę dolatującej muzyki. Przesunąwszy się przez łąki i szuwary, zaczajona za płotem słuchała. Księżyc wypłynął z za

chmury i oświetlił dziwaczną postać

Była to Zośka odziana w chustkę, córka jednego z gospodarzy Wodnic, zwana przez ludzi „Zośką—dziwaczką".

Krążyły o niej wieści, że błąka się po urwiskach i moczarach jak upiór a nawet mówiono, że czart dziewczynę opętał, to też unikano jej bojąc się spotkać ze złym duchem, jak ludziska mawiali.

Zośka tymczasem doszła do chaty Jegrów, oparła się o ścianę altanki okrytej dzikiem winem i słuchała z zapartym oddechem. Melodja spływała z otwartego okna, płynęła błądząc ku górze, może zawisła w przestworzu, by trwać wiecznie. Drżała żałosną nutą dla uśpionych ptaków, rozległych moczarów i lękliwie drżących brzóz, łkała rzewną skargą, to znów jaśniejszą bardziej teczową wstęgą tonów spowijała przyrodę. Kwiaty wchłaniały pieśń nieznanego mistrza, oddychały nią i swym nikłym szeptem — dzwonieniem zlewały się w jeden akord tonów. Smutna melodja nietylko znalazła słuchacza w przyrodzie pełnej piękna i majestatu, ale także w Zośce skulonej, opartej o altankę, jak cień lęku i trwogi, który od czasu do czasu rozjaśniał się promykiem radości jaki malował się na twarzyczce biednej „Dziwaczki".

Za co ją tak ostro sądzono, za co rzucano obelgi, nieszczędząc przezwisk niewinnej? dlaczego sponiewierano jej święte uczucia, czyste, nieznane ciemnej gawiedzi? — Może za to, że była zawsze zadumana, osowiała, małomówna, często zapatrzona w obłoki pędzące jak białe gołębie.

Złość rówieśniczek ściągnęła chyba na siebie tem, że ich unikała, niecierpiąc za obłudę. Cóż była winna, że nic jej nie cieszyło, że nie śmiały się oczy do różnobarwnych korali i wstążek, które jej matka na odpuście kupowała; Zośki nie ciągnęło błędne koło chłopców i dziewcząt. Zawsze słaniała się po zagrodzie w nadzieji znalezienia spokojnego i cichego kąta. Tak też i teraz stała, bojąc się poruszyć, by nie ucichło to cudowne granie. Wtem zasłuchaną dziewczynę spłoszyły kroki przechodzących rozbawionych dziewcząt wracających z muzyki od sołtysa. Przestraszona przywarła do ściany, by nie być widzianą. — Zaparłszy dech, czekała pełna trwogi, aż miną miejsce, gdzie stała, i znikną z oczu, ale nie długo musiała czekać, gdyż te przeszłe szybko, nie zwracając uwagi na muzykę. Bo cóż dla nich zwykłe granie? — tak rozumiały. Ta biedna Zośka popychana przez wszystkich inaczej to pojmowała Rozumiała jeszcze niejasno — melodja w biednem jej sercu rozbudziła obcą dotąd tęsknotę i żal — tęsknotę za czemś wielkiem, nadziemskiem. Ciche westchnienie wyrywało się z piersi, do oczu natarczywie cisnęły się łzy, które zapaską ocierała. Czuła się w tej chwili nieszczęśliwą, opuszczoną przez wszystkich, samotną Zośką, która nie miała ani jednej żywej szczerze oddanej sobie duszy, która by ją zrozumiała, pocieszyła. Ból rozpierał to biedne serce przepełnione po brzegi goryczą i zniechęceniem do życia. Kąpała swe śliczne tęskne oczęta we łzach — a w meloji czarodziejsko brzmiącej znajdowała ukojenie i szczęście. O jakże pragnęłaby słuchać wiecznie tej dziwnej pieśni — tej skargi, która była obrazem jej szarego życia, jakże szczęśliwa jest z tej melodji tęczowej, której by niewiedzieć dokąd słuchała, gdyby jakieś wołanie nie rozległo się w pobliżu. I teraz biednem zahukanem stworzeniem wstrząsnął strach, a w oczach znów zamigotała bojaźń. Zacisnąwszy kurczowo zapaskę koło szyji ostrożnie przesuwała się opłotkami, by być jaknajmniej widzianą, minęła ciemny drzemiący sad, przebiegła polną miedzą kawałek i była w domu.

Matka czekała na Zośkę z groźbami. Ledwo weszła, zaczęła:

Oj widzę, że ci Antek we łbie siedzi — zachciewa ci się amorów, latawico. Byś ino tego nie żałowała! Kolacji nie zje ino lata i lata, a toć skaranie boskie z tą dziewuchą. Do pola niema — roboty nie ruszy, wiecznie się włóczy, a gdzie niewiadomo, pies by tam nie zaleciał. . .

Darmozjada ino człek trzyma ni pociechy matce! Szczęście, że ociec we młynie boby skóra twoja trzeszczała. Już północek się zbliża, a ty się wałęsasz, co ludzie powiedzą?

Tak labidziła matuś, gdy zaczęła się usprawiedliwiać Zośka.

— Antek tyla mnie obchodzi co każdy inny chłopak. Byłam se jeno kole Jegrów i słuchałam cudnego grania. ... ach — we-

stchnęła i otarła łzy, do oczu się cisnące.

— Głupiaś, to ci chleba nie da — tracisz czas, wałęsasz się, dziw nie zwarjujesz zawracasz se głowe byle cym, a robota odłogiem stoi.

Matuś kwiliła jak dziecko — wreszcie Wichrzyna spojrzała na Zośkę pytając z zaciekawieniem: któż to grał?

Nie wiem, matuś, to mnie nie obchodziło, ino zdało mi się, że mię ktoś po sercu głaska i mówi: „Nie martw się, Zośka i tobie jeszcze w życiu lepiej będzie"- tak jakby te skrzypki do mnie gadały.

Matka pokręciła głową i wyszła do komory, stawiając przed Zośką m skę z barszczem, zaś w progu dodała:

— A nie zapomnij tam zawrzyć obory i chałupy i kładź się spać, bo ojciec ino patrzyć, jak wróci ze młyna.

Podbiegła do matki, ucałowawszy spracowaną rękę na dobranoc i przyrzekała jednocześnie poprawę.

Wszyscy już spali snem sprawiedliwych, tylko jedna Zośka szwendała się po chacie. Zabrała się do spożycia barszczu ale jakoś jeść nie mogła, wszystko stawało jej w krtani, w uszach jeno dźwięczała dziwna melodja. Spać nie mogła — jakaś nieznana siła, której oprzeć się nie mogła ciągnęła ją — i iść za nią musiała.

Wstała, zarzuciwszy na siebie sukienkę, okryła się zapaską i cichaczem wysunęła się z izby. Niedługo znów stała oparta o ścianę altanki, wsłuchana, cicha, szczęśliwa. Łzy gradem toczyły się po twarzy, a z piersi wyrywało się łkanie, które przywołało Nirskiego, nie wiedzącego co się dzieje. Rozglądając się wracał do chaty, gdy drogę zagrodziła mu dziewczyna, z oczyma pełnemi łez, poczęła okrywać pocałunkami ręce zaskoczonego. Nie mógł zrozum eć, co chciała przez to wyrazić nieznana dziewczyna, to też podniósłszy ją, zaczął ocierać jej łzy. Żal mu zrobiło się Zośki

— Cóż za dziwny przypadek wieczorem o tak późnej porze — zgoła nie mógł pojąć, co za powód był płaczu.

Wziął ją jednak do izby, gdzie chwilowo zamieszkiwał i tutaj dopiero zaczęła bezładnie opowiadać, jak lubi słuchać smutnego grania i jak jest nieszczęśliwa. Zrazu przypuszczał, że zwykła rzecz: dziewczyna egzaltowana, przeczulona wrażliwą ma duszę, rwącą się do życia na pełną przestrzeń wolności.

Zegar wybił poważnie drugą. Zośka dziko zerwała się z krzesła i rzucając pełne tajonego bólu spojrzenia, wybiegła, zostawiając Nirskiego w izbie niezadowolonego że mu ten noktura wieczoru i ciszy przerwała jakaś dziewczyna.

Słysząc jednak jak jest popychaną, przez litość pozwolił jej przychodzić wieczorem już nie pod chałupę, ale do mieszkania, by bez lęku trwogi i strachu, słuchać mogła muzyki.

Długo od dnia tego jej nie widział, myślał że dziewczyna pod wpływem przykrości tak łzawo usposobiona była, a melodja jeszcze bardziej ją rozczuliła Zośka jednak słuchała niewidziana przez nikogo Tymczasem Nirski nie spotykając jej, zapomniał o tej biednej Zośce, a otrzymawszy telegram z wezwaniem do miasta, wyjechał z cichego ustronia Od chwili wyjazdu Nirskiego — Zośka nie słyszała grania, — nie słyszała smętnej melodji, która ją do siebie magnetyczną siłą ciągnęła

Z chwilą odjazdu, wszystko dla Zośki przepadło — znikł czar, został ból i nieukojona pustka . .

— — — — — — — — —

I o Zośce nie słyszano więcej — zniknęła bez śladu. Wieczorem jeno po pracy kobiety gwarząc, opowiadały o „dziwnej" Zośce, która zniknęła dla wszystkich na zawsze. A może głos skrzypek, zaciągnął ją z sobą, by wiecznie w jej uszach drżała upragniona melodja życia. . .

H. J.

RUTA MICHLOWICÓWNA (kl. VII)

WESELE FRANCKA KOPYCIOKA.

Francek Kopyciok fajny kawaler mioł już pięć dwadzieścia lot, to też łojciec prawi do niego:

— Słuchaj Francek, mosz swoje lato, to póida z tobom na swaty do Roźli farożowej. Wiesz że to fajno maszynka i dziołcha do różańca tańca i robote rozumie.

Francek skrzywił się, ale co robić, łojciec pado, a łon od tego, żeby słuchoł.

— Dobrze fater, ijda z wami, niechta bydzie wasze z tom Roźlom, wezma jom se, majontek mo stary Grzymała, no a Roźla łoko mo po mnie, bo nieroz mi już wursztu łoknem zsiepła. Rano stary Kopyciok rozgodoł sie z swojom starom — że zrobi se z niom fajne casy, jak Francek weźnie gospodarstwo, a łon bydzie ino reskierowoł, tak dużo jak pyskowoł.

Słońce już zeszło na niebo festelnie, jak Francek w łóżku po raz drugi sie łobrocił. Łojciec go woło a łon nic, ijdzie przeca do Roźli, to musi być wyspany, bo to nic einfachowego po tako frela prosić.

— No, ale musza już wstać — godo se Francek — bo to wstyd, jo tu byda chnet gospodorzym, a pachołki godajom, że joch pierzyński leń.

Wstoł Francek! — zacyno sie łoblykać, frizura loć wodom, trzewiku putzować taschentuchem, noi za dwie godziny był fertig, wysztrychniony, jak fajny gospodarz. Wloz do komory, kaj łojciec już cekoł na niego i zaroz obejrzoł se go na wszystkie strony i pado:

— No Francku, teroz tobych już z tobom szed aż do św. Ananasza, wyglondosz prawdziwie na reksanwalda. Roźla może być rada, że dostanie takigo fajnego karlusa. Przyszli do faroża, sprawa mu przedłożyli i stary Kopyciok prosi faroża, żeby doł Roźli łurlop, bo mo z niom dużo do godanio. Wszystko było dobrze. Kopyciok rozpedzioł Roźli o Francku i pedzioł ji, że Francka chciała jedna frela z Paryża, ino łon Roźli przaje, to se nie weźnie inkszo i fertig. Roźla rozcerwieniła sie, ale godo:

— Francek podobo mi sie, ale zdo mi sie, że łon rod jednego wypija.

Francek rozgniewał sie na to. Łon taki fajny karlus wyglondo jak istny reksanwald, a tako Roźla godo, że łon se rod jednego wychlopie, ten pyskot, już chcioł co pedzieć, ale Kopyciok zacnoł co inszego, noi Francek musioł trzymiać pysk Wszystko potym Kopyciok łobgodoł z Grzymołom, noi ślub za miesionc. Franckowi galoty sie ze strachu trzensom, ale co robić? łojciec tak chce

Miesionc przefurgnył, już dzień przed ślubem, Roźla stroji sie już, bo majom przyjechać somsiedzi, to i łona musi być fajno, to tyż łoglondo sie na wszystkie strony w rzadle i aż do wiecora nic nie robiła. Wiecór, jak zacli trzaskać skorupami na drzwi, to myśloł Francek, że łogupieje, a tu naroz trzask a Francek w pysk już mioł siedzieć, łoglondo sie a tu Roźla pado:

— Widzisz takiś fajny z Ciebie synek, dostałeś skorupom w pysk, a stoisz łośby klipa, nierob mi wstydu ino ruszaj sie.

Francek myśli:

— To wszyscy diobli z piekła, ta Roźla to istny lucyfer, jo ani z niom dzień nie przeżyja byda widzioł, naloć ji też naleja, bo pedzioł mi wczoraj Bartek Pietrucha: „Ty Francek! ty ino swoji Roźli lej smary, co by ji wontroba nie gniela". Myśli se to wszystko na darmo - a teroz mnie mogom polubić, ijda spać.

Od samego rana kręci i woniać takiemi fajnymi i dobrymi rzeczami aż smak leci. Ślub mo być o 11 tej, to też Francek wstoł o 5 tej bo łon zawsze mo cos, musi sie pomału łoblykać O w pół do 11-tej klęko z Roźlom do błogosławieństwa — łojciec jego, stary Kopyciok biado o Francka:

- Takiś był dla mnie dobry synek, ale z Roźlom bydziesz mioł jeszcze lepiej, bo dziołcha ci przaje.

— Przaje ci tam — myśli se Francek sturchła mnie wczoraj, aż mi sie w ślepskach łoświeciło.

Po błogosławieństwie do kościoła, a co tu już robić, młodego Kopycioka ceko

nieszczęście. Ślub skończony, wszyscy ijdom do zalu a tam dopiero taniec. Francek prosi pierwszą druchnę do tańca, a jak to Rożla widzi, przyszła do niego i pado:

Wiesz co? Żeby mnie tak nie było wstyd to bych Cie byncła w łeb, aż byś sie łobałił. siedza kole ciebie, a ty sie bieresz kogo inkszego do tańca.

Francek nie pedzioł już nic, ino siedzioł, jak mumjo egipsko. Co tam bydzie zaroz dzisiaj krach robił, może i jutro ji naloć Stary Grzymała przystompił do niego i godo:

Siedzisz i patrzysz na ludzi zamiast być wesoły. Rożla cie droźni, robi co ino może, żebyś sie śmioł, a ty nic.

Na to Francek zgorszony ryczy:

Pierzyńskie droźnienie, jo już mom tego doś, fater, a teraz jesz ze wy mi godocie gupstwa.

Francek łopił sie i poszedł spać.

Wrażenia gości? — — to se sama dla siebie zatrzymom.

CZAS DO PRACY, CZAS . . .

Skończył się już czas próżności
I swobody i wolności
Zaczną się już szkolne znoje
Lecz się wcale ich nie boję.

Zacznie się już ta łacina
Co się język w niej zacina
Zaczną się już te równania,
A „On“ w nich pomocy wzbrania.

Warto poznać polskie góry
Co ob ite są w marmury
I historji tę ideję,
Jak się też to w Grecji dzieje.

W polskim dużo „animuszu“
Zwłaszcza w „Panu Tadeuszu“.
I przyroda rzecz ciekawa,
Jak to rośnie figa, kawa. . .

Więc się weźmy do tej pracy
I czekajmy hojnej płacy,
Choć też bywa różnie przecie,
Dwój a często kark nam gniecie.

A gdy mamy pią ek moc,
To nie śpimy całą noc,
Tylko ciągle my marzymy
Jak się Panom wywdzięczymy.

Wielki skarb nauka przecie
Co potrzebny w całym świecie.
Jest też większy wy powiecie —
Lecz szukajcie . . . nie znajdziecie.

M. D.

OBOZY P. W. w RYTRZE

(Jeden dzień z życia obozowego)

Godzina 5-ta rano W namiocie słychać rowe oddechy lub chrapanie niektórych. ar wskazuje 5-ta 30. Z placu alarmowe- słychać głos pobudki, jakby za dotknię- m różdżki czarodziejskiej podnoszą się e i wychylają się głowy więcej lub mniej pane. — Janek! brzmi jakiś głos. Co? mi się chce jeszcze spać. Mnie też. y tych słowach reden z uczestników prze- ga się rozkosznie. Po chwilowem odręt- niu, wybiegają wszyscy na plac zbiórek. dlitwa. Rozlega się pieśń 125 ciu głosów, mi potężnie powtarzana przez las „Kiedy ne". Po modlitwie gimnastyka Pan kap- nie w humorze wstał dzisiaj lewą nogą. giem! Biegiem! Raz! Dwa! Raz! Dwa! słychać jego gniewny głos. Ćwiczenia , nóg, głowy i tułowia. Po dokładnem prostowaniu naszych mięśni, wracamy do niotów. Ścielemy łóżka i myjemy się w bliskim potoku, następnie idziemy do chni po kawę Skończywszy śniadanie, ygotowujemy się do ćwiczeń polowych. wsze komuś coś brak Edek, nie widzia- moich spodni? — A gdzie były? Obok ciebie To musiałem je zjeść bo ałem ogromny apetyt a przytem byłem pany. Spdnie znaleziono ostatecznie pod kiem, a nie w żołądku wszystko jedzą- go strzelca.

Godzina 7-ma.

Zbiórka wszystkich czterech obozów na acu alarmowym pod masztem Jeden z o- erów zdaje raport panu majorowi. Po po- taniu przez pana majora, rozchodzą się mpanje na zwykłe świc-enia polowe. Ćwi- enia polowe nie były bardzo przyjemne, raz zlani potem lub zmoknięci do ostat- ej nitki jednak musieliśmy wytrwać do ńca Wcale nam to nie psuło homoru, a zeciwnie, pobudzało do większej wesoło- O godzinie 10- tej kończyły się owe iczenia.

Mamy wolne do 2 giej. Jedni śpią na yczach lub czyszczą karabiny inni zaś szli się kąpać.

W kącie namiotu trzech urwisów zmawia szeptem, wybuchając co chwila śmie- chem, jakiegoby spłatać figla. O godz. 12-tej mamy obiad. Po skończonym obie- dzie wypchane żołądki potrzebują spoczy- nku, dlatego przeważna część nas drzemie. Ale za dużo dobrego. O drugiej mamy po gadankę naukową.

Służbowy z srogą miną zaznacza, że nie wolno brać z sobą poduszek i głośno chra pać. Wiadomość tę przyjmujemy z nosami na kwintę. Miłe pogadanki mamy do 4-tej; od 4 tej do 6-tej jest sprawność fizyczna którą bardzo lubimy Wszeszcie skończone wszystkie ćwiczenia, jest kolacja. (Należy zaznaczyć, że po śniadania obiady i kolacje idziemy z zapałem ponieważ mamy końskie apetyty). Następnie jest odczytanie rozkazu dziennego.

Wszyscy stajemy w pełnem umunduro- waniu Baczność! Równaj w prawo! Drugi szereg! — komenderuje sierżant - szef. Po wyrównaniu i sprowadzeniu obecności jest od- czytanie rozkazu Szef zaczyna:

Rozkaz dzienny nr. 12, oficer służbowy na dzień 13 tego pan por. . . " Nagle o zgrozo spojrzał na nas, a nasze głowy wszystkie zwrócone do góry. Oczy szefa — Cerbera podążają za naszemi i przedsta- wia się im samolot, wykonujący jakieś akro- batyczne sztuki. Cierpliwość pana szefa się wyczerpała „Do marmolady to jesteście, a nie na rozkazie stać porządnie. Do choroby bo mi się już słabo robi" Panie szefie ja mam skuteczne proszki Nos pana sierżanta zrobił się fioletowy. Co??? — krzyknął. Na baczność się odzywaci.. Jak nazwisko? Jutro do karnego raportu. Usta nasze wy- krzywiają się, jednak powstrzymujemy się od śmiechu Nareszcie skończył się roz- kaz, jest rozdanie listów i przesyłek pienięż- nych. Gdy to już skończone mamy wolne. O 9-tej modlitwa wieczorna. Po skończo- nej modlitwie udajemy się na spoczynek po tak pracowicie spędzonym dniu. Godzi- na 9-ta 30 capstrzyk i każdy musi chrapać na rozkaz. W kilka minut cichną wszelkie hałasy, słychać tylko szum potoku i pobli- skiego lasu.

„CZARNY"

Migawki szkolne.

EDZIK.

Był uczniem pierwszej klasy i jakoś wyżej nie zajechał. Na wywiadówkach zawsze mówili, że taki łeb twardy nigdy nie pojmie, co to jest szkoła. Ale Edzik nigdy zdania tego nie podzielał.

Gdy wchodził do klasy, zawsze naprzód widziało się jego łokieć Za łokciem pędziła ręka, który ej wielki palec tkwił wieczyście w głębokim lochu nosa. Za nosem wyskakiwał ów łeb bardziej kosmaty niż twardy, poczem wsuwała się reszta Edzika: brudna bluzka i jeszcze brudniejsze galoty. Przy tej sposobności wiało po klasie końskim potem Nic dziwnego: Edzik żył cały dzień z końmi, gadał z niemi i kolegował. Szkolnymi kolegami gardził: „cóż takie synki wedle kunia?" A że pięść miał twardą kułakował ich, ile wlazło. Gdy ryczeli, uznał, że koń rży ładniej i że szkoła jest głupia.

Książek nigdy nie przynosił, natomiast zawsze obsługiwał tablicę z gąbką i zawieszał mapy geograficzne. Odpowiedzi nigdy nie dawał z zasady, że szkoła jest głupia.

Ponieważ gęby nigdy nie zamykał, nieraz na lekcji zdarzyło się, że ryknął w głos lub gwizdnął. Panowie profesorowie nie mogli z nim sobie dać rady i polecili mu, żeby najlepiej spał na ławce i był cicho, bo cała klasa zaraz wyje i lekcji prowadzić nie można.

Edzik jednak miewał z reguły sny końskie. To też, gdy raz zdrzemnął się w czasie zoologji, przyśnił mu się koń Traf chciał że pan profesor pytał wtedy powtórki i również zawadził o konia.

Zapytany sąsiad Edzika zastękał:

– Kuń . . . eee . . . kuń . . . eee... jest taki, jak tyn łod Edzika...

Na to porwał się Edzik, śniący właśnie o koniu i ryknął:

— Cof sie od kunia! On nie taki gupi, żeby o sobie ci gadać pozwolił!

Edzik znalazł się za drzwiami . . . i tego roku niema go już nawet . . . w pierwszej klasie!

PANNA DANNA.

Panna Danna była grubo starszą koleżanką Edzika i nosiła nos bardzo wysoko. Była przekonana, że w całem gimnazjum niema od niej ważniejszej osoby. Trzy pary korków francuskich zdzierała miesięcznie, byle tylko górniej się trzymać. Gdyby umiała gwizdać, pewnieby na lekcjach gwizdała, jak Edzik, w przekonaniu, że nikt jej za to nic zrobić nie może. Ale gwizdać nie umiała

Nowej się jednak nauczyła sztuki. Ów nos, który dziwnym gimnastycznym „trickiem" umiała o piętro całe wznosić wyżej, okazał się zdatnym do spuszczania na dół, aż do samej ziemi. Gdy lekcję umiała, darła nos w górę, gadała jak gramofon i ośmielała się zanudzać profesorów na przerwach, że jest naprawdę pierwszą uczenicą, albo wogóle czemś nad uczenicą.

Gdy zaś nos opadł ku ziemi, a mina się wydłużyła w kaprys jakiejś obrazy — wszyscy myśleli: zuchwalstwo! A była to tylko intryga — pewność siebie i chęć zrobienia karjery ot tak! — francuskiemi obcasami. Zapomniała tylko, że to była — szkoła!

Zwyczajnie! — była przecież koleżanką — Edzika!

KOMUNIKAT DYREKCJI.

Półroczne opłaty szkolne wynoszą dla:

miejscowych (dzieci z Roździenia) . . . . . . 32 zł

dla pozamiejscowych . . . . 52 „

dla pracowników państw. . . . . 22 „

które uiścić można z góry lub ratami, najpóźniej jednak do czwartego miesiąca bieżącego półrocza

DYREKCJA GIMNAZJUM

KĄCIK HUMORU

NA LEKCJI MATEMATYKI.

Profesor: — Proszę się nie przerażać, narazie stawiam tylko „n" —

Ktoś z kąta: — Te. Nie wisz co to znaczy N w chemji — Jak tak dali pójdzie to w naszej klasie sam azot będzie!

NA LEKCJI POLSKIEGO.

(dzie zdaje się, że w szkole powszechnej)

Nauczyciel: Otóż jednozgłoskowym wyrazem nazywa się taki, dla którego trzeba tylko raz otworzyć usta. Oślewicz, podaj przyklad takiego wyrazu !

Uczeń: — sznaps ! proszę pana psora !

NA EGZAMINIE.

Dryblas, widziałeś przez mikroskop, ile to zwierząt znajduje się w kropli wody?

Tak, panie psorze, i wiem dlaczego woda tak szumi, gdy się gotuje

No ? dlaczego?

Bo one piszczą bo im za gorąco.

NA INNYM EGZAMINIE.

Profesor: Panie kandydacie, — proszę mi wymienić trzy ciała w których jest zawarty krochmal

Student: Para mankietów i kołnierzyk, panie profesorze.

NA OBOZACH.

Porucznik: W którą stronę maszerujemy teraz?

Strzelec: Na południe panie poruczniku.

Porucznik: Dobrze, a poczem to poznałeś?

Strzelec: Bo już mi się cieplej zaczyna robić, panie poruczniku.

Redaktor naczelny: Bolesław Gil (7 kl.)

Wydawcy: Uczennice i uczniowie Komunal. Gimn. Koed. w Roździeniu.

Kurator odpow.: Prof. dr. Kazimierz Gołba.

Redaktor odpow. dr. Kazimierz Gołba — Drukarnia Kresowa w Krakowie.